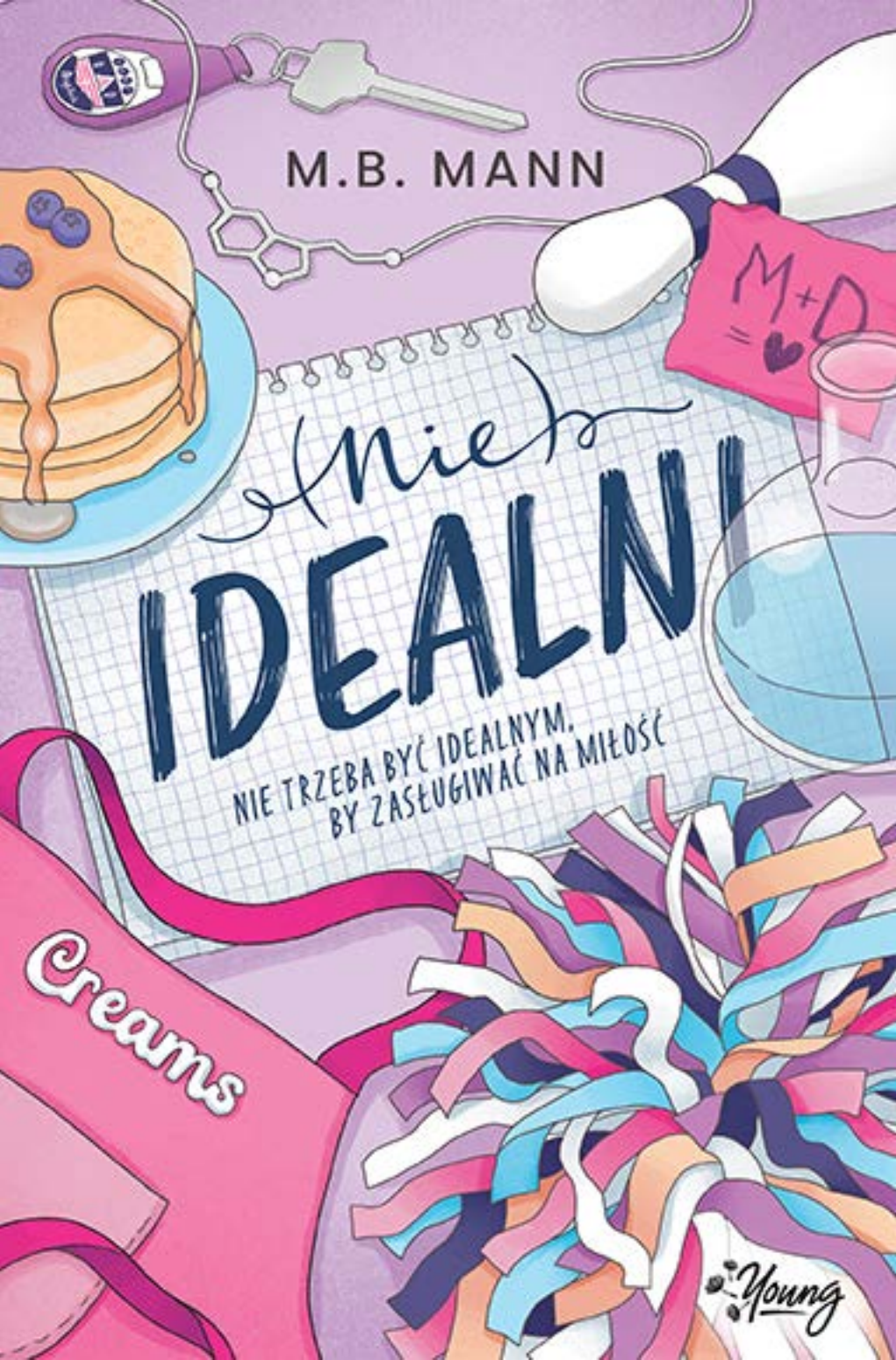




M.B. MANN

(nie)
IDEALNI!

NIE TRZEBA BYĆ IDEALNYM,
BY ZASŁUGIWAĆ NA MIŁOŚĆ

Creams

Young

M.B. MANN

(Nie)
IDEALNI

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska

Korekta: Lena Marciniak-Cąkała

Projekt okładki: Agata Łuksza

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by M.B. Mann

Copyright © 2025, Young an imprint of Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-808-8

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



1

Mackenzie

– Mackenzie! Jest prawie siódma, wstawaj w tej chwili albo zawieziesz swoje cztery litery szkolnym autobusem! – Moja mama wrzasnęła z dołu tak przeraźliwie, że najpewniej obudziła połowę dzielnicy. – Matthew wychodzi za piętnaście minut i nie będzie znowu na ciebie czekać!

Skrzywiłam się, przyciskając twarz do poduszki.

– Już wstałam! Zaraz zejść! – odkrzyknęłam, inaczej znowu zaczęłaby marudzić.

Zerknęłam na swoje zakopane w kołdrze ciało i westchnęłam ciężko. Był czwartek, a to oznaczało, że przed szkołą miałam trening cheerleaderek. Gdyby nie to, mogłabym spokojnie pospać jeszcze godzinę. Najchętniej zrezygnowałabym ze spotkania z Patsy Goodman – kapitaną pomponiar, ale wiedziałam, że jeżeli chociaż zająknę się o tym przed mamą, wścieknie się i swoimi krzykami obudzi drugie pół dzielnicy.

Ludzie wywodzący się z linii Pool byli urodzonymi dowódcami, przynajmniej tak zawsze mawiał ojciec, a matka ochoczo mu przytakiwała. Philip Pool, mój tata, w czasach szkolnych był kapitanem drużyny koszykówki, mój brat Matt poszedł w jego ślady, a ja miałam duże szanse na zostanie następczynią Patsy – mogłam wymachiwać pomponami w roli kapitanki i wiedziałam, że mama rozpaczliwie tego pragnie. Rodzice rozwiedli się niecałe półtora roku temu i mimo że moja mama nie używała już nazwiska Pool, wciąż chciała pokazać byłemu mężowi i jego nowej żonie, że potrafi kultywować zwycięską pasję przodków rodziny swojego eks.

– Mackenzie!!!

Przestraszona ni to piskiem, ni to warknięciem mamy, zerwałam z siebie kołdrę i czym prędzej wyskoczyłam z łóżka.

– Idę! – odrzyknęłam, biegnąc do łazienki przylegającej do pokoju i modląc się w duchu, aby Matt na mnie zaczekał.

Szkolny autobus był strasznym miejscem. Nie uśmiechało mi się wygrzebywać z włosów różnych świństw, które chłopcy z najwyższej klasy ochoczo wciskali we wszystkie puste przestrzenie.

Po szybkiej wizycie w toalecie zbiegłam pośpiesznie po schodach i pomachałam mamie stojącej przy kuchence.

– Na razie! – rzuciłam.

– Śniadanie. – Wskazała na kuchenny blat, a ja zrobiłam nieszcześliwą minę.

Słyszałam, jak czerwone auto brata już cicho mruczy, gotowe odjechać w każdej chwili. Wizja obślinionych kawałków papieru we włosach stała się nagle bardzo realna. Władowałam do ust kilka kęsów jajecznicy, co zostało skwitowane westchnieniem mamy, a potem wybiegłam na podjazd.

– Matt, czekaj! – sapnęłam, poprawiając dużą sportową torbę na ramieniu.

Tak jak myślałam, brat już wrzucał bieg, zupełnie nie przejmując się moim losem. Podbiegłam do samochodu i po wrzuceniu sprzętu na tył, usadowiłam się na siedzeniu pasażera.

– Może delikatniej? – Matt spojrzał na mnie z wyrzutem.

Na jego opalonej twarzy rysował się gniewny grymas. Matthew dostał czerwone camaro na osiemnaste urodziny. Kupił je ojciec, któremu bardziej od świętowania pełnoletności syna chodziło raczej o ugłaskania go po rozwodzie.

Tak, ostatnio tata dwoił się i troił, abyśmy byli po jego stronie i zaakceptowali nową macochę. Może i Matt dawał się nabrać na te sztuczki, albo przynajmniej dobrze grał, ja jednak nie miałam ochoty udawać, że wszystko jest okej.

Bo nie było.

– To tylko torba – mruknęłam, zapinając pas. – Mam tam jedynie wodę, pompony i buty.

Matt nie skomentował moich słów. Nacisnął pedał gazu i wyjechał na główną drogę. Skrzyżowałam ramiona na piersi i także milczałam. To nie tak, że ja i Matt wiecznie darliśmy ze sobą koty, ale raczej nie można nas było nazwać bliskimi sobie. Kochaliśmy się, ale nie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Przymknęłam oczy, delektując się ciepłym wiatrem muskającym twarz. Lato w Exthon, małym miasteczku położonym w stanie Pensylwania, powoli dobiegało końca. Na myśl, że znowu czeka mnie dziesięć miesięcy wstawania o siódmej, robiło mi się słabo.

Czerwone camaro zamruczało cicho i po chwili stanęliśmy pod domem Scotta Swana – najlepszego przyjaciela mojego brata.

– Suń się do tyłu. – Matt spojrzał na mnie znad okularów przeciwsłonecznych. – Obiecałem podwózkę Scottowi.

– Byłam pierwsza – zaprotestowałam.

Brat uniósł brew i się uśmiechnął.

– Ale to moje auto. Spadaj do tyłu albo idź na piechotę – mruknął, gdy drzwi od strony pasażera się otworzyły.

Scott stał na swoim podjeździe i spoglądał na mnie pytająco. Zaciśnęłam szczękę i przewróciłam oczami. Właśnie tak wyglądała hierarchia u Matthew Poola – przyjaciele ponad siostrą.

Resztę drogi do szkoły spędziłam ściśnięta na tylnym siedzeniu. Obserwowałam z kwaśną miną, jak Matt i Scott gadają jak najęci o ostatnim roku w liceum, koszykówce i dziewczynach. Zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy obślinione papierki we włosach nie były lepszym wyborem.

Gmach naszego liceum, które nosiło dumną nazwę „Sky Gardens” ze względu na otaczające je ogrody, prezentował się naprawdę dostojnie. Z wysokimi wieżyczkami i szarą cegłą wyglądał niczym królewski zamek. Efekty wizualne nieco łagodziły rutynę i nawał szkolnych obowiązków. Choć raczej nie byłam estetką, zawsze łatwiej znieść coś niemiłego, gdy jest ładnie opakowane.

Matt zaparkował niedaleko wejścia. On i jego koledzy dostali najlepsze miejsca, jak przystało na seniorów i w dodatku członków drużyny koszykarskiej. Chwyciłam torbę i ruszyłam szybkim marszem w stronę szkolnego boiska, mijając po drodze kilka osób, które machały mi na powitanie. Patsy nienawidziła spóźnialskich, a że był to pierwszy trening w roku, na każdego, kto przybył po czasie, czekało osiemset metrów do pokonania biegiem.

Nie miałam zamiaru się dzisiaj spóźnić.

– Mac! Hejka! – Zza zakrętu wyłoniła się burza czarnych loków.

Moja przyjaciółka Millie Brown uśmiechała się szeroko i machała do mnie.

– Hej, Millie – odparłam mniej entuzjastycznie.

W przeciwieństwie do niej nie należałam do rannych ptaszków, a mój dobry humor budził się dopiero koło jedenastej.

Poprawiłam pasek od torby i zaczęłam, aż Millie zrówna ze mną krok.

– Gotowa na pierwszy trening w nowym roku szkolnym? – zapytała z uśmiechem, a ja tylko westchnęłam przeciągle.

Roześmiała się i pokręciła głową. Na soczyscie zielonej murawie stała już spora grupka osób. Dziewczyny z najwyższego rocznika siedziały na ławeczce i leniwie o czymś rozmawiały, podczas gdy młodsze roczniki rozciągały się pod baczynym okiem Patsy. Rozejrzałam się dookoła i z ulgą zauważyłam, że brakuje jeszcze kilku osób. Osiemset metrów piekła czekało dzisiaj na kogoś innego.

– Witam księżniczki. – Odziana w fioletowo-biały strój pomponiar Patsy zabębniła paznokciami o biodro. – Zapraszam na rozgrzewkę – powiedziała tonem, który wcale nie był zapraszający.

Mimo że znałam ją dość dobrze – ona i Matt przez pierwszy rok liceum byli parą – to królowa cheerleaderek i szkoły napawała mnie lękiem. Wysoka, złotowłosa, z perfekcyjną figurą nie wydawała się człowiekiem. Kto wie, może była kombinacją robota i pięknej elficy?

Obie z Millie potulnie pokiwałyśmy głowami, podeszłyśmy do Sary, szczupłutkiej blondynki, która należała do naszej paczki, i zaczęłyśmy wyginać ciała pod czujnym okiem naszej kapitaniki. Po kilku minutach pojawili się Amanda i Tom i to im przypadł niewątpliwy zaszczyt przetestowania bieżni pierwszy raz w tym roku szkolnym.

– No dobra, najpierw przeciwiczymy układ z finałów zeszłego roku. – Patsy dmuchnęła w srebrny gwizdek, klasnęła w dłonie i wszyscy ustawiliśmy się w dwuszeregu. – Pompony w dłoń! Freddy, muzyka.

Pstryknęła palcami na szczupłego nastolatka, który stał nieco przygarbiony koło naszych sportowych toreb, a jej gwizdek

ponownie wydał ostry dźwięk. Chłopak szybko kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni telefon oraz mały głośniczek.

Chodziłam z Freddyem Collinsem na literaturę i kojarzyłam, że zawsze siedział z przodu i skrupulatnie zapisywał każde słowo nauczyciela. Raczej nie wydawał się typem sportowca i większość z nas zachodziła w głowę, dlaczego przyszedł na jedną z zeszłorocznych prób pomponiar. Wydawało się, że i tak nie miał żadnych szans, ale Patsy stwierdziła, że mamy w składzie za mało chłopaków i takim sposobem Freddy Collins stał się jednym z nas. Choć znacznie bardziej pasowałby do niego tytuł: chłopiec spełniający zachcianki Patsy.

Drgnęłam, gdy z małego głośniczka zaczęła lecieć skoczna latynoska muzyka. Nasza kapitanka miała ostatnio na jej punkcie fioła i wszystkie układy były pełne seksownych ruchów bioder. Nie czułam się z tym komfortowo, dyrektor szkoły, pan Hilton, najwidoczniej też, bo już dwukrotnie upomniął Patsy. Nasze zagrzewające do gry tańce podobno zbyt mocno rozgrzewały nie tylko drużynę koszykarzy, lecz także fanów siedzących na trybunach.

– Mackenzie, skup się! – Ostry ton głosu Patsy przywołał mnie do porządku.

Zamachałam pomponami i wykonałam wyuczone ruchy. Lubiałam tańczyć, a kilka lat ćwiczenia gimnastyki artystycznej dawało mi dużą przewagę nad innymi dziewczynami. Mimo że przewroty, gwiazdy i szpagaty nie były mi straszne, inaczej sobie to wszystko wyobrażałam. Sądziłam, że jako drużyna będziemy się trzymać razem, dobrze bawić i wspierać. Tymczasem większość dziewczyn czekała tylko na potknięcie rywalki.

– Meghan! Noga wyżej! Coś takiego to może zrobić mój pies, gdy sika! – Patsy gwizdnęła ostro i założyła ramiona na piersi, a mnie zrobiło się żal Meghan, która zrobiła się czerwona na twarzy.

Dziewczyna pomyliła kroki i Patsy wyglądała tak, jakby chciała ją udusić. Spojrzałam na Millie i dostrzegłam, że zaciska szczękę i kręci głowę. Moja przyjaciółka miała wybuchowy charakter i już kilka razy ścięła się z Patsy. Nie wyleciała jeszcze z drużyny, bo idealnie wpasowywała się w estetykę pomponiar – była ładna, zgrabna i naprawdę świetnie się ruszała. A wizerunek drużyny stał ponad personalne widzimisię kapitanki.

– Brian, Mackenzie, robimy podnoszenie!

Brian Vox uniósł ręce, a ja zrobiłam salto na jednej dłoni i zgrabnie wylądowałam koło niego. Chłopak złapał mnie w tali, a ja oparłam stopę na jego biodrze. Teraz powinien mnie podrzucić, a ja powinnam się wspiąć na jego barki. Powinnam, bo chłopak stracił równowagę w połowie podnoszenia i oboje runęliśmy na trawę. Stęknęłam, obejmując bolące kolano, a grupka seniorek zaczęła głośno chichotać.

– Mac, nic ci nie jest?! – Millie uklękła koło mnie, a ja powoli skinęłam głową.

– Co to było? – Rozgniewana Patsy stanęła przed nami i popatrzyła na mnie z wyrzutem.

– Komuś się chyba przytyło przez lato. – Brian wzruszył ramionami i powoli podniósł się z trawy.

Nie wiem, na czyjej twarzy można było wyraźniej zobaczyć chęć mordu: na mojej czy Patsy.

Kapitanka zmrużyła oczy i obdarzyła mnie chłodnym spojrzeniem. Byłam po uszy w bagnie. Jeżeli ktokolwiek myślał, że życie pomponiary jest cudowne, był w ogromnym błędzie.

2

Mackenzie

– Daj spokój, Millie. I tak nic nie zmienimy – mruczałam, przechodząc przez szkolny dziedziniec.

Co chwilę ktoś machał mi na powitanie, a ja odmachiwałam, przy okazji marszcząc nos, bo stłuczone kolano wciąż mocno mi dokuczało. Najchętniej wróciłabym do domu, zakopała się w łóżku i włączyła *Pogodę na miłość*, ale wołały mnie szkolne obowiązki. Sześć godzin zajęć, a potem jeszcze godzina kółka z literatury.

Zmieniłam zdanie: Patsy nie była połączeniem robota i elficy, tylko szatana i wiedźmy. Kto inny mógłby wymyślić trening cheerleaderek z samego rana?

– A właśnie, że nie dam. – Millie zacisnęła szczękę. – Ona nie ma prawa wypominać ci, ile ważysz, i zarządzać jakąś głupią dietę! – Odniosła się do słów kapitaniki, która powiedziała przy wszystkich, że jest mnie zdecydowanie za dużo. – Przysięgam,

że pewnego dnia wsadzę jej do gardła ten srebrny gwizdek – odgrażała się.

Zaśmiałam się, lekko uderzyłam ją w ramię, a później zapytałam:

– Co masz w planie?

Millie wyminęła całującą się parę i wyjęła z kieszeni dzinsów komórkę. Spojrzała na plan lekcji i odpowiedziała:

– Hiszpański, matematykę, geografię i socjologię. A ty?

Zrobiłam nieszczęśliwą minę.

– Mamy razem tylko geografię. – Gdy mój wzrok padł na zajęcia odbywające się na czwartej godzinie lekcyjnej, zamarłam. – Mam dzisiaj chemię – zajęczałam, a potem zaczęłam teatralnie utykać. – Wiesz, to kolano chyba jest spuchnięte. Powinnam iść do domu.

Millie roześmiała się i dała mi pstryczka w czoło.

– Czeka cię jeszcze co najmniej... – przygryzła wargę i się zamyśliła – czterdzieści chemii w tym roku, więc naprawdę nie ma co tego odwlekać.

Naburmuszyłam się i wydułam usta.

– Łatwo ci mówić – burknęłam. – To nie twój ojciec wdał się w romans z żoną chemika.

Millie zacmokała współczująco i objęła mnie ramieniem, gdy zaczęłyśmy się wspinać po schodach.

Tak, mój ojciec był rodzicem roku. Nie tylko zdradził mamę, rozwiódł się z nią i chwilowo zupełnie o nas zapomniał, lecz także uwiódł żonę mojego nauczyciela chemii. Pan Kindly, co było całkiem zrozumiałe, znenawidził cały ród Poolów i sprawił, że i tak niezrozumiała dla mnie tablica Mendelejewa stała się istnym koszmarem.

Nieważne, co się działo na lekcji, jedno zawsze było pewne: zostawałam wywoływana do tablicy i robiłam z siebie kompletną idiotkę. Niestety nie byłam jak bohaterki młodzieżowych filmów,

nie miałam wszystkiego. Tak, potrafiłam nieźle tańczyć, byłam dość popularna w szkole i wyróżniałam się na lekcjach angielskiego. Niestety przedmioty ściśle sprowadzały mnie do parteru. Musiałam być niezłym utrapieniem dla moich genialnych przodków.

– Jeszcze tylko ten rok. Na trzecim roku chemię prowadzi pani Scully – pocieszała mnie Millie.

Uśmiechnęłam się krzywo, bo czekało mnie jeszcze dziesięć miesięcy z panem Kindlym, który nie zamierzał mi odpuścić, jakbym to ja załaziła mu za skórę.

– Idę do swojej szafki po rzeczy. Widzimy się na geografii, a później spadam do groty szatana. – Zrobiłam nieszczęśliwą minę i pomachałam powstrzymującej chichot przyjaciółce.

Socjologię miałam we wschodnim skrzydle, chemia natomiast, jak przystało na przedmiot, podczas którego torturuje się uczniów, była prowadzona w szkolnej piwnicy, gdzie niezależnie od pory roku panował chłód i unosił się nieprzyjemny zapach chemikaliów. Przyciskając do piersi podręcznik i zeszyt, zesłam po wąskich schodach i uśmiechnęłam się blado do Alex i Sary. One też nie były orłami z przedmiotów ścisłych, ale ich ojcowie trzymali łapy z dala od żon nauczycieli, obie więc mogły liczyć na względne luzy na lekcjach pana Kindly'ego.

– Hej – szepnęłam do nich, bo w tych piwnicach bałam się nawet podnieść głos.

– Gotowa na ten cyrk? – Czarne oczy Alex wskazały na drzwi od sali chemicznej.

Wzruszyłam ramionami, po czym odetchnęłam głęboko, gdy we trzy przekroczyliśmy próg. Klasa wyglądała jak laboratorium. Pod jedną ze ścian stał długi stół, gdzie znajdowały się przeróżnego rodzaju fiołki i szklane kolby. Większość była wypełniona kolorowymi cieczami, a pod niektórymi płonął delikatny ogień. Centrum sali zajmowały trzy rzędy ławek, większość dwuosobowych, ale mnie, Alex i Sarze udało się dorwać potrójną.

Trzecia ławka w rzędzie pod ścianą była moim więzieniem na każdej lekcji chemii. Tkwiłam tam przez pięćdziesiąt pięć minut i zwykle modliłam się albo o krwotok z nosa, albo o ostrą biegunkę. Usiadłam na swoim miejscu, między Alex i Sarą, i nieśmiało uniosłam wzrok na białą tablicę, a później na stojące tuż przed nią potężne drewniane biurko.

Tron pana Kindly'ego.

Zagulgotało mi w brzuchu, gdy drzwi od małego kantorka, który znajdował się na przodzie klasy, uchyliły się i do pomieszczenia wpłynął nauczyciel.

Na widok jego czarnych, lekko przetłuszczonych włosów zaschło mi w ustach. Jeżeli ktoś uważał, że Severus Snape z *Harry'ego Pottera* był przerażający, to nigdy nie widział pobladłej twarzy pana Kindly'ego i jego upiornie jasnoniebieskich oczu. Wyglądał jak z koszmaru, tyle że na jawie...

– Witam drugoroczników po wakacjach – zaczął, a klasa natychmiast zamilkła.

Kątem oka widziałam, jak Danny Rodriguez, jeden z większych rozrabiaków w szkole, potulnie prostuje się w ławce i spija każde słowo z ust chemika. Na lekcjach chemii nikt się nie wygłupiał, milczeliśmy i wykonywaliśmy polecenia nauczyciela. Upiorne oczy pana Kindly'ego spoczęły na mojej twarzy, a ja poczułam falę mdłości.

– Mam nadzieję, że nie próżnowaliście przez dwa miesiące. Zróbmy małą rozgrzewkę – mruknął, a ja zacisnęłam spocone dłonie w pięści. – Może obliczymy... w ilu gramach węgla znajduje się tyle samo atomów co w dziewięćdziesięciu sześciu gramach siarki?

Dwa tuziny par oczu wpatrywały się w białe stołów albo w swoje dłonie. W klasie było tak cicho, że bałam się, że moje serce obijające się o żebra słychać w całej piwnicy.

– Nie ma chętnych do odpowiedzi? – Nauczyciel zacmokał ze smutkiem, a ja modliłam się, by ktoś podniósł dłoń.

Ktokolwiek.

Proszę.

Błagam.

– To może... – Pan Kindly zrobił dramatyczną pauzę, a potem niemal wymruczał: – Panna Pool.

Poczułam, jak Alex kładzie mi pocieszająco dłoń na kolanie. Przełknęłam ślinę i z trudem stanęłam na niebezpiecznie miękkich nogach. Uniosłam wzrok i spojrzałam lękliwie w jasnoniebieskie oczy. Skinęłam głową i ruszyłam się z miejsca, bo co innego mi pozostało? Zawsze mogłam udać omdlenie, ale chciałam tę kartę na naprawdę okropny dzień. Gdy szłam w stronę ogromnej białej tablicy, miałam w głowie obraz z filmu *Zielona mila*. Naprawdę czułam się jak skazaniec, a najgorsze było to, że cierpiałam za niewinność. To mój ojciec uwiódł panią Kindly, a obecnie panią Pool, nie ja.

Drżącą dłonią złapałam za mazak i chrząknęłam.

– Czy mógłby pan powtórzyć polecenie? – poprosiłam, bo z nerwów miałam w głowie totalną pustkę.

Nauczyciel westchnął, po czym zacmokał.

– Ach, panna Pool zawsze taka rozkojarzona – sarknął, a ja poczułam, że zapłonęły mi policzki.

Siedzący w pierwszej ławce kujon Sammy Clarks popatrzył na mnie ze współczuciem. Zacisnęłam szczękę i przełknęłam gorzkie słowa. Dlaczego nikt nigdy się nie zgłaszał do rozwiązywania tych cholernych zadań?!

– W ilu gramach węgla znajduje się tyle samo atomów co w dziewięćdziesięciu sześciu gramach siarki? – powtórzył wspinałomyślnie nauczyciel, a ja nadal miałam w głowie pustkę.

To wszystko brzmiało dla mnie jak łacina. Chociaż nie, łacinę ogarniałam znacznie lepiej. Mój oddech był krótki i ukrywany, co rusz oblizywałam usta i starałam się odszukać w sparalizowanym przez strach umyśle odpowiedź na pytanie.

– Co najpierw musisz zrobić? – Pan Kindly wyglądał na znużonego i zirytowanego jednocześnie.

Wytarłam spoconą dłoń w koszulkę i zamrugałam. „Co muszę zrobić najpierw? Co muszę zrobić najpierw?”, pytałam się w duchu.

– Muszę... – Mój głos drżał i brzmiał, jakbym zaraz miała się rozplakać. Odkaslnęłam i przyłożyłam marker do tablicy. – Muszę obliczyć, ile atomów... ile atomów znajduje się w tych dziewięćdziesięciu sześciu gramach? – Bardziej zapytałam, niż stwierdziłam.

– Ile atomów czego? – Pan Kindly uniósł krzaczaste czarne brwi, a ja otworzyłam usta.

„Co?”, zapytałam samą siebie w myślach. Bałam się poprosić o ponowne powtórzenie zadania, strach tak mnie sparaliżował, że nie miałam pojęcia, o jakich gramach mówił pan Kindly. To była siarka czy wapń? A może żelazo?

– Panno Pool?

Rozejrzałam się rozbieranym wzrokiem po sali. Zauważyłam, że Sara i Alex dają mi jakieś znaki, ale nic nie rozumiałam z ich dziwnych ruchów dłoni.

– Panno Pool? – Pan Kindly był rozdrażniony.

– Żelaza? – odparłam, a potem zadrżałam, bo na ustach nauczyciela rozciągnął się obrzydliwie cyniczny uśmiech.

– Widzę, że te dwa miesiące niewiele zmieniły w pani chemicznych umiejętnościach – sarknął. – Proszę na miejsce.

Odłożyłam mazak i ze spuszczoną głową poczłapałam do Sary i Alex. Szarawy blat naszego stolika stracił nieco na ostrości. Zamrugałam, by przegonić niechciane łzy, a Alex syknęła pod nosem:

– Padalec. Nic dziwnego, że żona kopnęła go w tyłek.

– Dobrze, może do tablicy podejdzie ktoś, kto ma lepszą pamięć od panny Pool. – Pan Kindly wciąż ze mną nie skończył. Napięłam się, po czym wyprostowałam i popatrzyłam na uśmiechniętą twarz nauczyciela. Widziałam, że moje

zaczzerwienione oczy wyraźnie go bawiły. – Może pan Davies? Wygląda pan na znudzonego.

Siedzący samotnie w ostatniej ławce Darcy Davies odsunął z piskiem krzesło i podszedł do tablicy. Czerń jego stroju ostro odcinała się od jasnych barw chemicznego laboratorium. Wełniane beanie leżało w niby niedbały sposób na złotych kosmykach, a okulary oprawione w czarne ramki delikatnie powiększały jasnozielone oczy.

Zacisnęłam szczękę, gdy znudzony głos Daviesa rozszedł się po klasie:

– Najpierw trzeba obliczyć liczbę atomów w dziewięćdziesięciu sześciu gramach siarki. – Posłał mi wiele mówiące spojrzenie.

Darcy Davies uważał mnie za idiotkę.

Nie wiedziałam, o co mu do końca chodziło. Zawsze czułam od niego silną niechęć. Mieliśmy kilka interakcji w pierwszym roku liceum i każde nasze spotkanie kończyło się dla mnie niezbyt miło. W klubie dyskusyjnym, do którego uczęszczałam w pierwszym semestrze, zawsze negował moje propozycje i argumenty. W szkolnej gazecie, w której działałam przez kilka miesięcy, złośliwie wypominał każdą literówkę i niespójność. Wytykał mi potknięcia przy tablicy na fizyce i ostentacyjnie przewracał oczami, gdy strach przed panem Kindlym paraliżował mnie na chemii. Czułam, że nie tylko mnie ocenia, lecz także z jakiegoś powodu mną gardzi.

Omiotłam go szybkim spojrzeniem i zmarszczyłam brwi. Denierwowały mnie jego całkowicie rozluźniona postawa, lekkość chodu i olewacki sposób trzymania pisaka. Skoro nie miał problemu z rozwiązaniem zadania, dlaczego się nie zgłosił na cholernego ochotnika? Z marsową miną patrzyłam, jak pokrywa tablicę drobnym, irytująco ładnym charakterem pisma.

Rozwiązał zadanie, a ja zupełnie się wyłączyłam. Na pięć minut przed końcem lekcji pan Kindly uznał jednak, że zniszczenie

mi humoru to dla niego za mało. Postanowił zniszczyć mi cały drugi rok liceum.

– Na koniec naszej pierwszej lekcji mam dla was cudowne wieści – zaczął, a po sali rozszedł się bolesny jęk. – Zastanawiałem się, jak was rozruszać w tym roku, i wpadłem na pomysł. Każdy semestr będziecie kończyć projektem grupowym.

Jęk zawodu zmienił się w szep – grupowy projekt nie brzmiał tak źle. Gdybyśmy zebrały do kupy wiedzę Alex, Sary i moją, może wystarczyłoby na zaliczenie chemii. Widząc nasze uśmiechy, pan Kindly zacmokał i nas uciszył.

– Grupy jednak będę wybierał ja – oznajmił, a ja poczułam, że mi słabo. – Dobiorę was w pary i od następnej lekcji będziecie pracować razem. – Zawiesił dramatycznie głos i zaczął pocierać o siebie dłonie. W moich oczach wyglądał jak Grinch, który szykował się do zrujnowania Gwiazdki w wiosce Ktosiów. – I gdy mówię „razem”, mam na myśli nie tylko projekt kończący semestr. Mówię o każdym zadaniu domowym i pracy na lekcji.

Alex uniosła brwi i mruknęła pod nosem:

– To lekcja chemii czy socjologii?

Pan Kindly zmierzył ją wzrokiem, a ona potulnie skuliła się w sobie.

– Jakież problemy, panno Tanner?

– Nie, proszę pana – zaprzeczyła.

– Doskonale. Pani parą będzie pan Clarks.

Siedzący przy pierwszym stoliku Sammy ożywił się, a później poczerwieniał niczym piwonii, bo Alex posłała mu zde gustowane spojrzenie.

– Od następnej lekcji chcę panią widzieć w pierwszej ławce.

Alex skrzywiła się i mimo jej ciemnej karnacji mogłam przysiąc, że lekko zbłądła. Współczułam jej, że będzie musiała oglądać z tak bliska upiorne oczy pana Kindly’ego.

– Pan Rodriguez trafia do pana Liu. Pani Taylor do pana Willisa. – Nauczyciel wyczytywał pary, a ja czułam, jak serce wali mi w klatce piersiowej.

Naiwnie się łudziłam, że może zostanę oszczędzona i przydzielona do Sary, ale ta podzieliła los Alex i dostała do pary chłopaka, którego imię wyleciało mi z głowy. Biedny zakrywał pokryte trądzikiem czoło i zezował nieśmiało na Sarę.

Denerwowałam się. Po pierwsze, nie chciałam trafić na jakąś randomową osobę, która jeszcze skomplikuje moje relacje z chemią. Po drugie, wiedziałam, że ktokolwiek zostanie ze mną sparowany, będzie mnie wyklinać. Wszyscy wiedzieli, że pan Kindly mnie nie znosił. Z dwojga złego wołałam niszczyć życie tylko sobie, a nie jakiemuś biednemu uczniowi.

Przygryzając wewnątrz policzka, czekałam, aż chemik wyczyta moje imię, a gdy się to w końcu stało, zachłysnęłam się powietrzem. Moje największe obawy się ziściły – dostałam najgorszego możliwego partnera.

– Panna Pool i pan Davies – zawyrokował pan Kindly, a ja poczułam, jak jasnozielone oczy wbijają ostre szpilety w moje plecy.

Miałam przekichane.



Sięgnij
po więcej!

-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

 Young